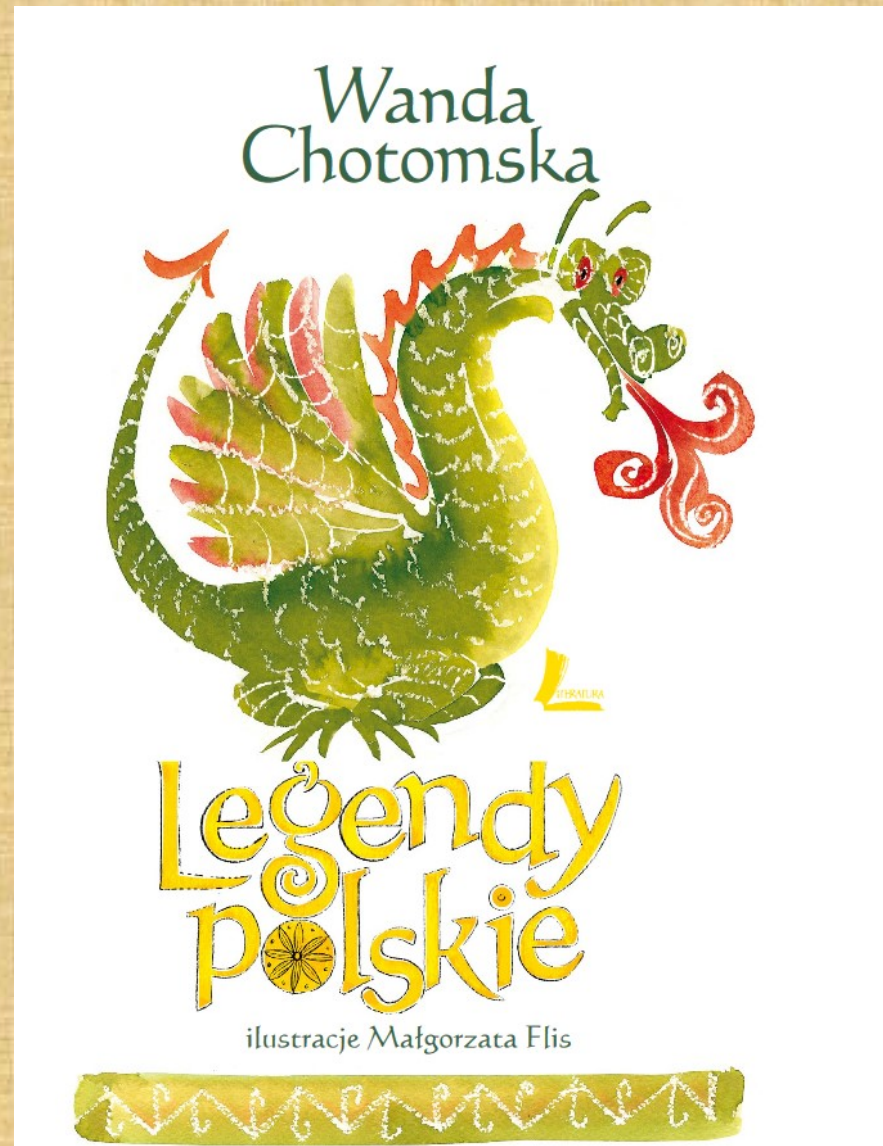


<https://www.youtube.com/watch?v=MrXlw4fAvTQ>







## Legenda o Lechu, Czechu i Rusie

W czasach, kiedy ludzie nie umieli pisać, kiedy nie liczono lat i nie zapisywano dat, wieści o tym, co się zdarzyło, przekazywano sobie z ust do ust. Najpierw mówili o nich naoczni świadkowie, a potem szły w świat – powtarzane z pokolenia na pokolenie, synom i wnukom przez ojców i dziadów.

Nazywano je „ustnymi podaniami” i niektórzy kronikarze umieszczali je później w swoich kronikach. Tak właśnie było z podaniem o Lechu, Czechu i Rusie. Trafili do kronik z informacją, że od nich zaczęły się przedhistoryczne dzieje naszych przodków – Lechitów i naszych sąsiadów – Czechów i Rusinów.



A potem różni autorzy zaczęli tworzyć o nich legendy. Może i ja spróbuję? Wiadomości w kronikach mało, tylko trzy imiona i jedna linijka tekstu – cienki sznureczek słów, ale postaram się go rozciągnąć, wydłużyć, zwinąć w kłębek opowieści i nie przerywając wątku potoczyć do rąk czytelników.

Więc było ich trzech. Lech, Czech i Rus. Bracia. Żyli w słowiańskiej osadzie zagubionej w ogromnych lasach. Tam się urodzili. W środku wielkiej kniei. W gęstwinie nieprzebytej puszczy. Nieprzebyta – bo nie było człowieka, który by ją całą przebył, przedarł się przez gąszcz krzewów, chruśniaki i maliniaki, pokonał omszałe pnie zwalonych drzew i zieloną ścianę tych, które koronami sięgały nieba – sosen i świerków, buków, jaworów i dębów.

Dęby były najważniejsze. Najstarszy górował nad osadą. Był wielki i święty. I źródło, które tryskało spod dębu, było święte. I koń, biały koń, który pasł się w cieniu dębowych konarów i pił wodę ze źródła, też był święty.

– Bogu o czterech twarzach poświęcony. Świętowitowi, co w cztery strony świata cztery oblicza obraca – mówił stary Kapłan, a Lech, Czech i Rus potakiwali.

Wiedzieli, że Świętowit jest największym bogiem spośród wszystkich słowiańskich bóstw, a Kapłan – naj-





mądrzejszym człowiekiem w całej osadzie. Na wszystkim się znał. Na ludziach, zwierzętach, roślinach. Umiał leczyć ciała i dusze, z roślin przyrządzał leki, ze znaków na ziemi i niebie – z gwiazd, z lotu ptaków, z wiatru i dymu – wróżył przyszłość, objaśniał sny. Te, które mieli dorośli, i te, które śniły się chłopakom.

Lechowi i jego braciom od dzieciństwa śniły się konie.

– Mój był wrony – zwierzał się staremu Kapłanowi Czech.

– Mój też wrony – potwierdzał Rus.

– A mój gniady, kasztanowy, złoty taki – uśmiechał się Lech. – I jechałem na nim, pędziłem, leciałem nad puszcza i goniłem białe obłoki...

Wyśniły im się te konie. Kapłan powiedział, że się wyśnią i wyśniły się. Kiedy podrosli – każdy dostał od ojca źrebaka. Rus i Czech – czarne, a Lech – gniadego. I każdy sam się o swojego konika musiał troszczyć. Karmić go i poić, czesać i oporządzać, żeby koń miał czysto i sam był czysty.

Pięknie o te swoje koniki dbali. A stary Kapłan tylko się przyglądał i uśmiechał. Aż pewnego dnia powiedział:

– Jest was trzech i macie trzy konie. W trzy strony świata rozjedziecie się na nich. Trzy konie – na trzy

strony, a świat ma cztery. Jak Świętowit o czterech obliczach. Żeby do niego dotrzeć – jeszcze jeden koń potrzebny.

I pokazał im źrebaka. Białego jak mleko, jak śnieg i jak obłoki, które w swoich dziecinnych snach gonił Lech.

– To dar dla Świętowita. I sam jest święty. Pilnujcie, żeby nie dotknęła go żadna obca ręka, żeby żaden bezbożnik nie wyrwał ani jednego włosa z jego ogona i grzywy. Kiedy niebo da znak, odprowadzicie go do Północnego Grodu. Do wielkiej świątyni.

– A jaki to będzie znak? – zapytał Lech.

– Świętowit was zawoła. Spójrzy i niebo stanie w płomieniach. Zagrzmi i Biały Koń zrozumie. Na grzmot odpowie rzeniem i ruszy w stronę świątyni. A wy, na koniach, za nim – odpowiedział Kapłan. – Na północ, ciągle na północ.

Przez całą drogę powtarzali sobie potem te słowa. W dzień sprawdzali kierunek jazdy po mchu porastającym pnie drzew od północnej strony, w nocy patrzyli na gwiazdy i cieszyli się, że stary Kapłan tylu rzeczy ich nauczył, i dziwili, że Biały Koń nigdy nie myli drogi. Może i on nauczył się od Kapłana? A może Świętowit mu podpowiada?



– Słyszysz to, czego ludzie nie słyszą – mówili, patrząc jak Koń strzyże uszami, jak czegoś nasłuchuje, jak na coś, czego oni nie słyszą, odpowiada nagłym rzeniem.

Cały czas ich prowadził. A kiedy szedł – las się przed nim rozstępował, krzewy kłaniały się nisko, a leśne jeziora podsuwały swoje lusterka, żeby mógł się w nich przejrzeć, zobaczyć, jaki jest piękny.

Kapłani w Północnym Grodzie też powiedzieli, że piękny.

– Dar godny Świętowita! – orzekł Najstarszy.

A młodsi, przywiązawszy do ogrodzenia konie Lecha, Czecha i Rusa, pozwolili trzem braciom wejść do wnętrza świątyni. Przed ogromny, sięgający stropu posąg Świętowita. Przed jego wielką postać z głową o czterech obliczach.

Biały Koń już tam był. Prowadzony przez Najstarszego Kapłana okrążył posąg raz, drugi, trzeci. Kapłani szli za nim, modlili się, mruzczyli coś niezrozumiale. W jakiejś chwili jeden z nich, mijając trzech braci, zatrzymał się przy nich i szepnął:

– Świętowit przyjmuje dar. Schylcie głowy, prędko się ukłońcie, zaraz przemówi.

I usłyszeli głos. Cała świątynia wypełniła się tym głosem:





– Słyszysz to, czego ludzie nie słyszą – mówili, patrząc jak Koń strzyże uszami, jak czegoś nasłuchuje, jak na coś, czego oni nie słyszą, odpowiada nagłym rzeniem.

Cały czas ich prowadził. A kiedy szedł – las się przed nim rozstępował, krzewy kłaniały się nisko, a leśne jeziorka podsuwały swoje lusterka, żeby mógł się w nich przejrzeć, zobaczyć, jaki jest piękny.

Kapłani w Północnym Grodzie też powiedzieli, że piękny.

– Dar godny Świętowita! – orzekł Najstarszy.

A młodszy, przywiązawszy do ogrodzenia konie Lecha, Czecha i Rusa, pozwolili trzem braciom wejść do wnętrza świątyni. Przed ogromny, sięgający stropu posąg Świętowita. Przed jego wielką postać z głową o czterech obliczach.

Biały Koń już tam był. Prowadzony przez Najstarszego Kapłana okrążał posąg raz, drugi, trzeci. Kapłani szli za nim, modlili się, mruzcili coś niezrozumiale. W jakiejś chwili jeden z nich, mijając trzech braci, zatrzymał się przy nich i szepnął:

– Świętowit przyjmuje dar. Schylcie głowy, prędko się ukłońcie, zaraz przemówi.

I usłyszeli głos. Cała świątynia wypełniła się tym głosem:





*– Jak świat ma cztery strony,  
a ja – cztery twarze,  
jedno miejsce na ziemi  
znak każdemu wskaże...*

– W drogę! – krzyknęli kapłani. – Na koń! W imię Świętowita w drogę!

– W imię Świętowita! – odkrzyknęli Lech, Czech i Rus i wskoczywszy na konie, ruszyli przed siebie.

A każdy sprawdzał co chwila, czy nie zgubił sakiewki z tajemnym znakiem i myślał – jakie miejsce przeznaczył mu Świętowit i który z nich pierwszy na swoje miejsce trafi.

I tak się zdarzyło, że pierwszy był Lech. Na leśnej polanie znalazł białe pióro. Takie samo jak to, które miał w sakiewce. Leżało w pobliżu drzewa, grubego, rozłożystego dębu, na dębie było gniazdo, a nad gniazdem krążył biały ptak. Orzeł.

– To tu! – zrozumiał Lech i wskazując braciom orła, powiedział: – Tu jest moje miejsce. Tutaj zostanę pod skrzydłami białego ptaka. Wy pojedziecie dalej, a ja zbuduję tutaj gród. I nadam mu imię – Gniezno. Bo tu, gdzie orzeł ma swoje gniazdo, będzie i moje.

Nie wiem, czy naprawdę tak powiedział. Ale wiem, że Biały Orzeł jest godłem naszego państwa, a Gnie-

zno było pierwszą stolicą Polski i siedzibą pierwszego polskiego władcy – Mieszka. I że w słowach kryją się tajemnice przeszłości.

O nazwie miasta uczeni mówią różnie. Jedni – że Gniezno wywodzi się od gniazda, inni – że od kniazia. Gniezno – kniezno – gród kniazia...

A może obydwie słowa połączyły się w jedno? Może to i od gniazda, w którym zagnieździł się orzeł, i od kniazia – księcia, który miał na imię Lech? Bo to jest pewne, że tak właśnie miał na imię. Tak zapisane jest w starych kronikach. Nazywał się Lech i miał dwóch braci – Czecha i Rusa.

